

# ZŁOTE GODZINY

IWONA KLIMCZAK

## ROZDZIAŁ II

Kwiecień był w tym roku wyjątkowo słoneczny. Wiosna nadchodziła dużymi krokami i żadne ludzkie dramaty i smutki nie mogły jej powstrzymać. Pierwsze rośliny coraz odważniej przebijały się na powierzchnię, gałęzie drzew z wolną pokrywały się zielenią. Ptaki zaczęły wyśpiewać najpiękniejsze melodie, a okoliczne koty z lubością wygrzewały się na słońcu.

Czekali zawsze na tę wiosnę. Marek na początku roku sporządził plany zawodowe, układał, zapisywał, uzgadniał. Lubił mieć wszystko zaplanowane, związane na ostatni guzik.

Ważnym punktem tego roku miała być ich wiejska działka. Alicja przypomniawszy sobie o niej, gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać. Wiedziała, że powinna tam zajrzeć, zobaczyć, co słychać, przewietrzyć, posprzątać.

Kupili tę działkę rok wcześniej. Okolice Grotnik to nie było jakie miejsce. Powietrze inne niż w Łodzi, dużo lasu, przestrzeni. Wieś, ale nie taka zwyczajna, bo równie często, jak rolnika, można tam było spotkać grzybiarza czy działkowca, do tego łatwo dało się tam dojechać pociągiem; zależało jej właśnie na takim miejscu, bo chciała mieć dobre połączenie ze szkoły. Wolałaby kupić coś z domkiem letniskowym, ale Marek się uparł.

– Chyba nie sądzisz, że kupię jakąś używaną chałupę? Jakby to wyglądało? Inżynier budownictwa i nie może sobie sam zbudować domku? – drwił.

Alicja wpadła wtedy na świetny, jak jej się wydawało, pomysł.

– Jeśli chcesz budować, to może zbuduj od razu prawdziwy dom – zaproponowała. – Trochę pieniędzy mamy, na resztę weźmiemy kredyt i zamieszkamy tam. Nie musi być duży, nie rozumiem, po co mieszkamy jeszcze w tych przeklętych blokach.

Marek zachował się wtedy dziwnie. Tak przynajmniej pomyślała.

– Wiesz, tak jest wygodniej – powiedział po krótkim namyśle. – Zimą masz ciepło, w mieście wszędzie blisko, a tam trzeba o wszystko samemu zadbać...

– Pan inżynier nie potrafiłby zadbać o wszystko? – spytała nieco kokieteryjnie.

– Może kiedyś...? Lepiej będzie letniskowy – odpowiedział też w sposób, który zupełnie do niego nie pasował.

Podrażyła jeszcze trochę temat, ale Marek nie zmienił zdania. Wzięli się więc z Grześkiem do roboty, zmontowali ekipę i wybudowali fajną chałupkę. Na szczęście pozwolili Alicji zdecydować, jaka ma być. Wymogła więc na nich, żeby była parterowa (bo są coraz starsi, więc lepiej unikać schodów), niezbyt duża (bo przecież ktoś to musi sprzątać) i niezbyt okazała – żeby się nie martwić, że ktoś to okradnie.

Powstał więc mały drewniany domek z zielonymi okiennicami i sporym tarasem z jasnych desek. Ładnie im wyszło, musiała przyznać, choć grzebali się z tymi pracami całe lato, bo przecież sezon budowlany był w pełni i mieli dużo zawodowych obywateli. Jesień zesłała na wykańczaniu wnętrza, więc nie zdążyli już właściwie pomieszkać. Spali tu może kilkanaście nocy... A teraz została sama.

Tej soboty pogoda była piękna, Alicja postanowiła więc tam pojechać i zobaczyć. Wysiadła z pociągu i wpadła w zupełnie inny świat. Odzwyczała się od tej ciszy; chyba nawet nie zdążyła jej dobrze poznać. Mimo że ich Pustkowa Góra nie leżała w środku lasu i jeździły tu pociągi, a droga była asfaltowa, to każdy hałas

zdawał się inny niż w mieście. Szła szosą, obszczekiwana przez okoliczne psy, i wąchała to powietrze, które pachniało ciepłem, trawą, ziemią i z wolna rozkwitającymi kwiatami. Zapiał jakiś kogut, słychać było ciągnik z nieodległego pola, ptaki wrzeszczały. Inny świat. Powoli, nieśpiesznie, dotarła do swojej bramy. Jej działka wyglądała naprawdę nędznie. Wszystko pozamykane, pochowane, uśpione.

*Czy jest sens, żeby to trzymać? – myślała, szukając klucza. Może lepiej sprzedać, nie będzie kłopotu? Trzeba porozmawiać z chłopcami.*

Zgromiła się natychmiast. Dlaczego miałyby z nimi rozmawiać? Dlaczego mieli decydować w takiej sprawie? Wiedziała, że w gruncie rzeczy to nieprawda, bo wszystko, co zostawił Marek, było też ich spadkiem po ojcu, ale nie chciała tak tego postrzegać.

*Z drugiej strony tak tu pięknie...*

Skupiła się wreszcie na kluczu, ale ten nawet nie drgnął, gdy chciała go przekręcić w zamku. Próbowwała wszystkich, myśląc, że może nie pamięta, który jest do furtki; był jednak zbyt charakterystyczny, by pomylić go z którymś innym.

– Cholera jasna. Dlaczego wszystko jest przeciwko mnie? – mruknęła coraz bardziej wściekła.

Wyjęła więc klucz z furtki i spróbowała otworzyć bramę, licząc, że wejdzie w ten sposób. Efekt był podobny, choć z tą różnicą, że klucza, który włożyła do kłódki, nie mogła już wyjąć. Czyżby zamki pozamarzały? Przecież Marek powinien zabezpieczyć je przed mrozem. To zupełnie niepodobne do niego, żeby o tym zapomnieć albo nie pomyśleć. Stała więc bezradnie przed wejściem, z kluczem, który utknął w bramie, i kompletnie nie wiedziała, co zrobić. Chciało jej się płakać. Miała ochotę wyć, kopnąć tę przeklętą furtkę i uciec stąd jak najdalej. Nie usłyszała nawet, że na poboczu zatrzymał się ciemny crossover. Zareagowała dopiero, gdy kierowca się odezwał.

- Dzień dobry. Jakiś problem? Może w czymś pomóc? - spytał po prostu.

Odwróciła się nieco przestraszona i szybko zlustrowała go wzrokiem. Nie wiedziała, kim jest, ale skąd miałyby go znać? Wysoki, mocno zbudowany, pewnie koło sześćdziesiątki, choć nie była dobra w określaniu wieku, zwłaszcza dojrzałych ludzi. Starzeli się różnie i nigdy nie było wiadomo, czy już przeszli ten proces i tak wyglądają, czy są na początku tej przemiany.

Szpakowate włosy, niegdyś ciemne, były nieco zbyt długie, zarost miał pewnie ze trzy dni. Robocze ubranie też przydałoby się wyprać. Uwagę przykuwały za to intensywnie niebieskie oczy ocienione długimi rzęsami, jak u dziewczyny. Do tego miał za troskany wyraz twarzy, jakby facet się czymś martwił.

- Dzień dobry. Klucz się zaciął, ale jakoś sobie poradzę - powiedziała dość oschle. To chyba niezbyt normalne zatrzymać się tak przy czyjejs bramie tylko dlatego, że ktoś próbuje przekręcić klucz. Może to jakiś złodziej? Rozejrzała się wokół. Pusto i cicho. Na szczęście był dzień, w dodatku stali w sumie w środku wsi.

- Pani pozwoli, znam się trochę na tym - odparł mężczyzna i nie czekając na jej reakcję, podszedł do furtki i zajrzał do środka zamka niczym lekarz do gardła. - O, chyba ładnie pani pordzewiał - stwierdził i uśmiechnął się lekko, ale ciepło, bez złośliwości czy poczucia wyższości. Złapał za klucz w bramie. - O, tu poważniejsza sprawa - zawyrokował. - Ale jak wlażło, to i wyjdzie - dodał z pewnością siebie.

Zajrzał na tylne siedzenie, gdzie leżała spora skrzynka narzędziowa. Wyjął jakiś płyn, szmatkę i narzędzie, które Alicji skojarzyło się ze śrubokrętem. Zakroplił płynu do jednego i drugiego zamka.

- Teraz musimy trochę poczekać - powiedział, przyglądając się jej badawczo.

Miał taki ciepły wzrok. Łagodny. Patrzył na nią nieco z góry. Podobali jej się postawni mężczyźni. Marek był tylko trochę wyższy

od niej i do tego nie lubił, by kobieta nad nim górowała, więc buty na obcasach odpadały. Przy wysokich za to ona czuła się lepiej. Taki, jak obejmie tym długim ramieniem, to naprawdę można się poczuć bezpiecznie.

*O czym ja myślę? Chyba zwariowałam* – upomniała się natychmiast.

– Dawno pani tu nie była, prawda? – spytał cicho i jakby ostrożnie, przywracając tym Alicję do rzeczywistości.

– Rzeczywiście, ale zimą tu nie przyjeżdżamy. Bo zima. – Uśmiechnęła się, chociaż nie umiała znaleźć żadnego powodu do takiej reakcji.

– No tak. Ale teraz robi się ciepło, to pewnie będzie pani tu bywać – bardziej spytał, niż stwierdził.

– Gdy wiosna przyjdzie już na dobre... – zaczęła i urwała, bo właściwie nie wiedziała, jak się wyrazić. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Jeśli to było pytanie.

*Ładne ma te oczy. Po co facetowi takie długie rzęsy?* – pomyślała za to.

– No, chyba powinno być dobrze. Pani przekreśli. – W jego głosie dało się usłyszeć przesadny entuzjizm, co podkreślił zatarciem rąk.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że klucz obrócił się łatwo.

– I czary-mary znowu mi się udały. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – To jeszcze furtka.

Pokazał wzrokiem i ponownie rozciągnął usta w uśmiechu, jakby był pewien efektu. Ten zamek też nie stawiał żadnego oporu.

– Działa – szepnęła Alicja z przejęciem.

– To życzę miłego wypoczynku. I niech się pani tak nie martwi – powiedział bardzo z siebie zadowolony, wciąż patrząc na nią i nie ruszając się z miejsca. Była tak zaskoczona, że nie zdążyła się zastanowić, o czym on mówi. – To ja uciekam. Gdyby coś było trzeba,

to mieszkam na Poziomkowej, kawałek za stacją, w lewo, pod dwudziestym. Niech pali wali jak w dym.

- Zaraz, niech pan poczeka – ocknęła się. – Ile panu płacę?

- No co też pani! – Autentycznie się oburzył. – Sąsiadce pomagam. Dalekiej, ale sąsiadce. Żadne płacę.

- Ale tak symbolicznie, chociaż na piwo... – nalegała.

- Nie ma mowy – powiedział twardo, otwierając drzwi samochodu. – Na wsi jesteście, tu ludzie sobie pomagają. Do zobaczenia. Mieszkam pod dwudziestym, ostatni dom przed lasem. Jakby co... – Znów się uśmiechnął.

- Dziękuję – szepnęła, ale on już ruszył i pewnie nie słyszał jej słów. Westchnęła i weszła na podwórze.

Dobrze jej zrobiła ta działka. Alicja wytrzeptała, wyszorowała i odkurzyła wszystko, co się dało. Zmęczyła się przy tym strasznie i gdy wróciła do domu, ledwo miała siłę zjeść kolację i po raz pierwszy od dawna całkiem nieźle spała. Kładąc się do łóżka, pomyślała jeszcze, że gdyby nie ten dziwny facet, to pewnie znów byłaby w podłym nastroju...

\*\*\*

Bała się trochę tych świąt wielkanocnych, pierwszych bez Marka, więc nie żałowała, że dała się namówić, żeby spędzić je u Maćka. Od czwartku miała w szkole wolne, więc pojechała do Warszawy i stamtąd polecili do Oslo. Odniosła wrażenie, że Oliwia była niezadowolona, może Wojtek wcześniej obiecał, że pojedą do jej rodziny? Pewnie później wyprosił zmianę decyzji, mówiąc, że w tej sytuacji nie zostawi mamy... Mogła to sobie wyobrazić, ale nie miała zamiaru się wtrącać. Niech sami załatwiają swoje sprawy z kobietami. I jeden, i drugi.

Nie przepadała za Agnieszką, która była jej zdaniem przemądrzała i wszystko wiedziała najlepiej, ale Alicja musiała przyznać, że synowa tym razem bardzo się postarała, by stworzyć miłą

atmosferę. Alicja przywiozła Judytce sporo różnych książek dla dzieci, przypominając, żeby czytały jej po polsku, i spędzała z wnuczką jak najwięcej czasu. Widywały się rzadko i znały w gruncie rzeczy słabo, ale dziewczynka uwielbiała babcię, bo ta, gdy tylko się pojawiała, poświęcała jej całą uwagę.

– Nie myśleliście, żeby wrócić do Polski? – spytała na jednym z licznych spacerów. Wyjechali na przedmieścia Oslo, gdzie było naprawdę ładnie i taka przechadzka sprawiała jej prawdziwą przyjemność, choć temperatura była nieco niższa niż w Polsce.

– Mamo, mamy tu pracę, dom, wszystko – wytłumaczył Maciek, patrząc na Agnieszkę.

Wyglądało to tak, jakby ktoś przegrało właśnie zakład o to, czy mama będzie nakłaniać ich do powrotu do Polski. Alicja od razu się zdenerwowała, choć usiłowała nie okazywać rozdrażnienia.

– Tam też można mieć pracę, dom i wszystko. I jest się w Polsce, w swojej ojczyźnie, wśród bliskich.

– Mamo, wiesz, ile w Polsce zarabia pielęgniarka? – spytała dość oschle Agnieszka.

– Wiesz, moja droga, pieniądze to nie wszystko. Maciek i tam zarobiłby nieźle. W Polsce też potrzeba pielęgniarek – stwierdziła Alicja z wyższością. – Wiesz, ile zarabia nauczycielka? I co? Wszyscy nauczyciele mają wyjechać? I pielęgniarki? – dodała.

Zapadła kłopotliwa cisza, jakby się umówili, że nie będą się z matką spierać, niech sobie pogada. Denerwowało ją to.

– To nie takie proste, mamo – odezwał się wreszcie Maciek.

– Wiem, że to wasze życie i zrobicie, co będziecie chcieli. Nie rozumiem, dlaczego wam tu lepiej i pewnie was nie przekonam, ale będę namawiać za każdym razem – powiedziała pojednawczo, dokładając nieco cieplejszych tonów.

Naprawdę nie pojmowała. Mogła jeszcze zrozumieć ludzi bez zawodu, bez możliwości znalezienia pracy, bez perspektyw, takich, dla których wyjazd był szansą na normalne życie, ale Maciek miał

tu dobre widoki, ojciec miał pozycję, mogli nawet pracować razem. Aga też nie miałyby problemu z zatrudnieniem, a jeśli jej zależało na wysokich zarobkach, to miałyby dużo możliwości. Nauczycielka historii to brzmi gorzej, prawda? Bolało ją, że żadne z dzieci nie zostało w rodzinnym mieście, jakby jakaś siła zmuszała ich do wyjazdu; jakby Łódź była zabitym dechami końcem świata, miejscem bez przyszłości, bez szans na dobre życie.

– A wiecie, że byłam na naszej działce? – zmieniła temat, bo nie chciała się przeciw z nimi pokłócić. – Ślicznie robi się na wsi o tej porze roku.

– Mamo, zastanów się: czy jest ci potrzebna ta działka? Sama będziesz tam jeździć? – Maciek skrzywił się lekko.

– Żaden z was raczej nie będzie mi towarzyszył, prawda? – zabrzmiało mocno złośliwie. Dokładnie tak, jak chciała.

– Mamo, przecież wiesz, praca. – Wojtek uśmiechnął się słodko. Pewnie uznał, że to przytyk bardziej w jego stronę, bo Maciek wiadomo...

– Wiem, synku, wiem, obaj macie swoje sprawy, ale dlaczego mam tam nie jeździć sama? – zapytała, choć wiedziała, co usłyszy.

– Jak to dlaczego? Co tam będziesz robić sama? – spytał ze zdziwieniem Wojtek.

Alicja spłótła palce i mocno je zacisnęła. Zupełnie niepotrzebnie złościła się na własne dzieci, znów będą mówić, że zachowuje się dziwnie albo że dziwacznie. Może tak właśnie było, tylko tego nie widziała?

– Myślisz, że jak sama siedzę w domu, to jest inaczej? Myślisz, że tu mam się czym zająć?

– W domu to co innego... – zaczął Maciek. – Poza tym z działką jest mnóstwo kłopotów. Dbać trzeba, naprawiać, bo zawsze coś się może popsuć, trawę trzeba kosić... Do tego dodatkowe koszty...

Zauważyła, że znów zgodzili się ze sobą, gdy rozmowa dotyczyła jej.

- Czy uważasz, Maciuś, że jestem niepełnosprawna? Że się rozplącę, jeśli coś się popsuje, a nie będę umiała tego naprawić? Że kosiarki nie umiem obsłużyć? – Podniosła nieco głos. Starła się nad nim zapanować, bo nie chciała, żeby emocje wzięły górę. Nakręcała się. Nawet to „Maciuś” powiedziała celowo. I pomyśleć, że niedawno przemknęło jej przez myśl, że może lepiej byłoby to sprzedać...

- Mamo, to nie tak, Maćkowi nie o to chodziło – wtrącił się Wojtek.

Zdecydowanie zbyt dobrze się dogadywali w sprawach, które jej dotyczyły. Dotąd rzadko im się to udawało.

*Ale wtedy żył Marek...*

- Jesteś tam sama, pamiętaj, a to jednak wieś – ciągnął wciąż spokojny Maciek. Podobnie jak jego ojca, trudno było wyprowadzić go z równowagi. Co innego Wojtek, który rzucał zabawkami przy każdej okazji.

- Rzeczywiście jestem sama, bo jeden mój syn przeprowadził się do Warszawy, a drugi aż za morze – stwierdziła zimno. – Potrafię sobie poradzić. Myślicie, że kto sobie dawał radę przez całe wasze życie? Ojca wiecznie nie było w domu, a jakoś dobrze wam się żyło. W naszej Pustkowej Górze jest naprawdę miło. Może zaproszę Dorotę, jak wróci z tego swojego sanatorium? A jak coś się popsuje, to są od tego ludzie – zakończyła triumfalnie.

Nie wiedzieć czemu przypomniał jej się ten dziwny człowiek od czarów-marów z zamkiem. Uśmiechnęła się.

- To nie jest takie proste, mamo... – Maciek znów przybrał ten swój tryb „pełny spokój”, którego tak nie lubiła.

- Albo poproszę wujka Grześka. On też chętnie pomoże – szybko weszła mu w słowo i od razu spytała, czy zaplanowali jakieś atrakcje na wieczór. Chcieli ją traktować jak nieporadną staruszkę? Proszę bardzo! Będzie więc wymagać, marudzić i narzekać. Będą się martwić? Niech się pomartwią!

\*\*\*

Wiosna się rozpędzała. Choć walka między nocnymi przymrozkami i przygrzewającym słońcem jeszcze trwała, to zima przegrywała z kretesem. W szkole było zdecydowanie więcej pracy – zbliżały się matury i uczniowie przypominali sobie, że warto by się pouczyć przed egzaminem, który stanowił przepustkę na wymarzone studia. Pisali więc wypracowania, rozwiązywali arkusze, a ona pracowicie je sprawdzała i omawiała. W końcu co innego miała do roboty?

Spojrzała w kalendarz.

*W zeszłym roku o tej porze robiłabym imieniny Marka...*

Właściwie, jakby tak się zastanović, coraz częściej myślała: „w zeszłym roku o tej porze”. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle.

*Przyszedłby Grzesiek i paru kolegów z pracy, czasem przyjeżdżał któryś z braci, no i Wojtek z Oliwiq. Bo Maciek na ogół dzwonił.*

Zajrzała do pokoju, który po wyprowadzce Wojtka Marek nazwał gabinetem. Swoim oczywiście, bo ona zdecydowanie lepiej czuła się w dużym pokoju, w fotelu albo przy stole. W tym gabinecie stało spore biurko i zamykana szafka. Na szczęście Alicja wiedziała, gdzie chował klucz. Chodziła wokół tego kilka razy, ale wciąż nie miała odwagi zabrać się za porządkowanie jego rzeczy. Tak samo jak za ubrania, które nadal wisiły w jego części szafy, jakby tylko wyjechał i zaraz miał wrócić. Trzeba będzie w końcu to zrobić.

*A może poprosić Wojtka?*

Odrzuciła szybko tę myśl, bo czuła, że powinna zająć się tym sama. Po raz kolejny jednak przełożyła to na później, tłumacząc sobie, że poczeka, aż skończą się matury. Teraz musi być w formie, a wiadomo, jak takie porządki mogą wpłynąć na człowieka?

W imieniny Marka, zamiast zrobić przyjęcie, pojechała na cmentarz. Nie chodziła tu często, czasem po niedzielnej mszy przyjeżdżała zapalić znicz na skromnym pomniku. Była pewna, że świeże kwiaty, które przyniosła przed świętami, dawno zwiędły,

niosła więc w rękę bukiet różnokolorowych goździków. Już z daleka zobaczyła stojącego przy grobie Grzeška. Stawiał właśnie świeczkę; Alicję zobaczył dopiero, gdy była blisko.

– Dzień dobry, Alu – powiedział szybko. – Jak miło cię widzieć – dodał i pocałował ją w rękę.

– Dzień dobry, coś całkiem o mnie zapomniałeś.

W jej głosie wyraźnie słyhać było wyrzut. Chciała, żeby tak zabrzmiało. Nie czekając na jego reakcję, wyjęła zwiędłe kwiaty z wazonu, wylała starą wodę i nalała nową, którą przyniosła w butelce, a później wstawiła goździki. Otworzyła znicz. Grzesiek, nieco jej zdaniem stropiony, zareagował wreszcie i podpalił knot. Postawiła na grobie.

– To już trzy miesiące... – zaczął i umilkł.

*To już trzy czy dopiero trzy?*

– Prawie cztery – sprostowała, chociaż nie miało to przecież większego znaczenia.

– Jak sobie radzisz? – spytał cicho Grzesiek.

– Trudno powiedzieć – odparła szczerze, bo zupełnie nie potrafiła ocenić, czy daje sobie radę dobrze czy źle. Nie miała żadnego doświadczenia ani nie znała nikogo, kto mógłby dokonać takiej oceny.

Pomodlili się przy grobie i wolno ruszyli do wyjścia.

– Może zjesz ze mną obiad, Grzesiu? Nie potrafię się przestawić i wciąż mam za dużo jedzenia. Jeśli nie masz oczywiście innych planów – dodała na wszelki wypadek, bo nie chciała, żeby poczuł, że go naciska.

– Dziękuję ci, Alu, ale umówiłem się z synem, ma dziś wolne, więc spędzimy trochę czasu.

*Z synem?*

Dlaczego nie powiedział po prostu „z Kubą”? Przecież go znała, nosiła na rękach, siadywał jej na kolanach... Grzesiek kłamał. Była

pewna, miała nosa. Trzydzieści pięć lat doświadczenia w wykrywaniu kłamstw w oczach i słowach młodych ludzi. Tylko nie wiedziała, dlaczego nie mówił jej prawdy.

– Jak chcesz – skwitowała zimno.

– Podwożę cię, Alu, oczywiście, a chętnie zajrzę kiedyś w tygodniu, jak mnie zniesiesz. – Uśmiechnął się sztucznie.

– Dziękuję, pojedę autobusem, to całkiem nie po drodze – odparła nieco wyniośle.

Poczuła się urażona. Powinien wiedzieć, że niełatwo było ją oszukać. Zaproszenie na „kiedyś w tygodniu” zupełnie zignorowała. Zrobiło jej się naprawdę przykro, wiedziała, że powinna z nim porozmawiać, spytać, co się dzieje i dlaczego o niej zapomina, ale bardzo ją dotknął takim zachowaniem. Zawsze myślała, że się przyjaźnili, a okazało się, nie zajmowała w jego życiu ważnego miejsca. Oprócz męża straciła jeszcze przyjaciela...

Nieco zamyślona, wolnym krokiem poszła w stronę przystanku autobusowego.

*cdn.*